

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

23

— To będzie zrobione — oświadczył kłótko Allan.

Podobne słowa, rzucone przez człowieka tej miary, równały się zupełnemu zaangażowaniu się w sprawę, a Allan nie lubiał nigdy obiecywać na próżno.

Great Allan, był to mężczyzna średniej postawy, silny i nerwowy. Włosy nosił krótko nad czołem ucięte, twarz wygolona, w której błyszczały duże, niebieskie oczy, wyrażała dobroć połączoną z energią i rubasznnością. Wyglądał na lat pięćdziesiąt, a miał ich w rzeczywistości już sześćdziesiąt pięć.

Skąpy i umiarkowany w słowach, miał szeroką rękę, kiedy chodziło o pieniądze i uczynienie komuś przysługi. — Niewiele wiadano o nim ponad to, że był zażartym podróżnikiem i człowiekiem uczciwym z gruntu. Akcyonariuszów swoich wzbogacił, ale nikt nie wiedział, ile wynosi jego osobisty majątek, który w każdym razie, zważywszy na tryb jego życia, musiał być dosyć pokaźny.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby Towarzystwo, które reprezentował Allan, uczyniło mu jakkolwiek uwagę. Był on w każdym wypadku panem sytuacji i człowiekiem, z którym liczone się i wykonywano bez zastrzeżeń jego rozkazy i wskazówki.

Allan zainteresował się silnie młodym hrabią de Kermor. — Człowiek tego co on pokroju, dorobkiewicz umysłowy, który sam sobie tylko zawdzięczał wyrobione stanowisko w świecie, lubi badać charakterystyki ludzkie i odgadywać zagadki.

A właśnie Henryk był dla niego taką zagadką...

Kiedy mówił o swoich zamiarach na przyszłość, śmiałych planach podróżniczych, zapalał się i robił wrażenia człowieka dążącego do zamierzonego celu z całą świadomością i upodobaniem.

Allan wiedział, że hrabia de Kermor miał wejść w związku małżeńskie z bogatą Paryżanką, ale czy miał to być związek powodowany miłością, czy też interesem, tego odgadnąć nie mógł. Dziwił się tylko, że młody człowiek zgodził się na przedsięwzięcie tak dalekiej i niebezpiecznej podróży w tych warunkach i nie mógł wybać, co znaczyć mogło dziwne zachowanie się jego, zmieszanie i niechęć, kiedy mówiono o jego narzeczonej. Czyżby to było ukryte cierpienie spowodowane dłuższą rozłąką — czy też żal za kimś innym, pozostawionym w kraju, jeżeli, jak Allan przypuszczał, małżeństwo to było oparte jedynie na materialnych podstawach.

Ale kiedy Henryk de Kermor kilkakrotnie okazał wobec niego gorączkową radość, na myśl, że wkrótce stanie na afrykańskiej ziemi — Amerykanin zaczął się coraz więcej gubić w powziętych przedwcześnie przypuszczeniach i tem goręcej interesować się charakterem swojego młodego towarzysza.

— Hrabia de Kermor nie może należeć do ludzi, goniących tylko za złotem — myślał Allan, pedantycznie reasumując wrażenia swoje — ojciec zaś jego w przeciwieństwie jest lekkomyślnym niszczycielem własnego majątku. Hrabia de Kermor poślubia ową pannę dla jej milionowego posagu — i opóźnia ten termin, dla niego niezbyt gorąco oczekiwany, przez tę długą podróż. Wypływa więc z tego, że w tej podróży szuka sposobności ożłocenia nadwyrężonego herbu swojego i nazwiska. W ogólności znajdować się musi w położeniu ciężkim bardzo, jeżeli nie rozpaczliwym. Ciekawość popchnęła go do zbadania, o ile przypuszczenia te są trafne. Rozmowa na temat małżeństwa w ogólności posłużyła mu w tym względzie.

Skorzystał raz ze sposobności, kiedy jednego wieczora zażywali świeżego powietrza na pokładzie statku, i zagadnął pana de Leneuville, przyjaciela Henryka.

— Kiedyż pan nam oznajmi z kolei radosną wieść o swoim małżeństwie, panie de Leneuville?

— Wielki Boże! — zawołał z komicznym przestradzeniem młody człowiek — czyż mi pan aż tak źle życzy?

— Przeciwnie, życzę panu bardzo dobrze — odpowiedział niewzruszony Amerykanin. — Ale chciałbym, żeby pan wszedł w ślady swojego przyjaciela, pana de Kermor. — Kilka milionów posagu nie odrzuca się tak lekkomyślnie.

Henryk na te słowa uśmiechnął się smutnie

i lekceważąco wstrząsnął głową, jakby ta myśl o posagu nie interesowała go zupełnie.

— Oh! panie hrabio! — zawołał Allan — niech pan nie będzie taki bezinteresowny. Niech pan pamięta, że ryzykujemy wszystko z tamtej strony oceanu i założyłbym się z panem...

— Nie jestem bogaty — przerwał, ozywając się Henryk — ryzykować mogę tylko mój honor, jeżeli panu chodzi o zakład.

— Dobrze, przyjmuję. A więc zakładam się z panem, że jeżeli zdołam dla pana wyłowić kilkaset milionów w tem przedsiębiorstwie kolonialnem — nie pomyśli pan już więcej o poślubieniu swojej posażnej narzeczonej. Zostanie ona dla tego szczęśliwca de Leneuville — dodał, śmiejąc się Allan, chcąc zatuszować słowa swoje zanadto śmiało i dwuznacznie.

Oczy Henryka zabłyśły nagle światłem. Nie odpowiedział na żart Amerykanina, zatopiony w myślach, które nagle zrodziły się w jego duszy. Długi wszystkie popłacone, olbrzymi majątek przodków doprowadzony do dawnej świetności i blasku i do tego wszystkiego wolność jego nienaruszona! Pozbycie się raz na zawsze niebezpiecznej pomocy bankiera de Bressien, miłości Sydonii. Wszystko to mogło zostać w niepamięć rzucone! Ale natychmiast dawna, ciężka chmura osiadła na czołe Henryka. Miliony Allana mogły go od tego uchronić, ale bezsilne są wobec namiętności, która ciągle gorzała w jego sercu. Na to jedno nikt i nic nie znalazł sposobu. Śmierć tylko wybawić go mogła, ta śmierć, na którą liczył i nadzieję miał znaleźć tam, w niebezpiecznych głębiach puszczy afrykańskich!

— Myli się pan — odezwał się po chwili poważnym i pewnym głosem. — Zdobać dla mnie potrójną ilość milionów, wynoszących posag mojej narzeczonej, a jednak ożenić się z nią będę zmuszony.

— Biedny Leneuville — zaśmiał się Allan, chcąc całą rozmowę w żart obrócić. — Muszę mu postawić kilka butelek szampana na pocieszenie. — Chodź pan z nami, panie hrabio. Wobec tego, że zakład z punktu przegrałem, winienem panu jaki taki rewanż.

Rozmowa ta miała miejsce w kilka dni po wypłynięciu na otwarte morze.

— Wypijmy za zdrowie Bretanii — zaproponował Allan, rozochocony, wchodząc do sali restauracyjnej.

— I Stanów Zjednoczonych — odparł grzecznie Henryk de Kermor.

— Nie, nie — zaprotestował energicznie Amerykanin — Bretanii! i tylko Bretanii, tego najpiękniejszego i najdroższego dla nas kraju!

— Co! — zadziwił się Henryk, szeroko rozwierając oczy. — Czyżby pan był przypadkiem Bretończykiem, panie Allan.

— Do diabła! — zaśmiał się Allan rubasznie. — Czyż na takiego nie wyglądam?

I chcąc zamaskować nagle wzruszenie, które nim owładnęło, odwrócił się szybko do okna, spoglądając na niknące coraz szybciej wybrzeże.

— Tak — rzekł po chwili, przerywając milczenie. — Już pół wieku blisko, jak opuściłem jedną z tych skał, które są i rodzinnym pana miejscem, panie de Kermor. Znam dobrze ten kraj i zamek Roche Kermor.

— I nigdy pan tam nie powrócił? — zapytał Henryk, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. — Bretończycy wogóle są bardzo silnie przywiązani do swojej ziemi.

— Zanadto może... — szepnął Allan — dlatego też tam nie powróciłem. Co prawda, brakło mi czasu do tego. Jeżeli tam kiedykolwiek powrócę, to jedynie poto, aby żyć i umrzeć niepoznany przez nikogo.

— Niechże się to teraz stanie jak najpóźniej — odparł Henryk poważnie. — Jest nam pan obecnie potrzebny, jak oko w głowie. Ale jeżeli nasz zamek podoba się panu, to czemuż go pan nie odkupi od obecnego właściciela, barona de Bressien. Jest do sprzedania.

— Naprawdę? — zawołał Allan, przyglądając się uporczywie młodemu człowiekowi. — Nie! — Dodał po chwili namysłu — odkupię prędzej chatę, w której się urodziłem, gdzie się urodził ten stary nudziarz Franciszek Allain, ale zapewne nie istnieje już! Ileż to już lat przeszło!

Wyszli na pokład, Allan niezwykle wzruszony, co się mu bardzo rzadko zdarzało, oparł się o maszt i zamyślił głęboko, nie zdając się zwracać uwagi na otoczenie swoje.

Noc zapadła. W dali, na wybrzeżach tonących w mgle czarnej migotały gdzieś niki światła. Okręt unoszony falą, kołysał się łagodnie, z morza szły ku pokładowi szmery lekkie i jęklive nawoływania dzikiego ptactwa.

Kablogram.

W chwili, w której Janina le Brenn po przeżytych ciężkich i smutnych dniach w niegościnnym Paryżu powracała uspokojona cokolwiek i podniecona lepszą nadzieją do rodzinnych miejsc swoich, Hen-de Kermor oddalał się od nich z sercem przepelnionem goryczą i smutkiem. Boleść jego wzmagala się z dniem każdym. Noce całe przepędzał na pokładzie okrętu, nie mogąc nawet w śnie znaleźć ulgi i wytchnienia przed dręczącymi go myślami. Tutaj w samotności mógł przynajmniej cierpieć swobodnie, zdala od ciekawych i natrętnych oczu ludzi. Nad ranem dopiero, kiedy pierwsze promienie wschodzącej zorzy zaróżowiły deski pokładu i maszty, Henryk schodził do swojej kajuty i kładł się zmęczony na łóżko, zapadając w pół sen gorączkowy, pełny zjaw dręczących i ponurych. Potem zaś przez dzień cały starał się myśleć tylko o celu swojej podróży i wiódł długie rozmowy z Allanem, omawiając plany dalszego działania. Ale w tem przymusowym oszalałaniu się tracił z dniem każdym energię i jasność myśli.

Allan bacznie śledził Henryka i z przykrością widział uwydatniającą się coraz wyraźniej zmianę w jego usposobieniu, lękając się, aby ten ból ukryty nie zniszczył w zaraniu to młode, użyteczne życie i nie doprowadził go do niezwalczonej już ostatecznej rozpacz.

Od owej rozmowy na pokładzie nie poruszał już drażliwego tematu, nie chcąc się wciskać w prywatne życie młodego swojego towarzysza, lecz czuwał nad nim zdaleka, jak ojciec nad synem.

Na jednej z wysp Kanaryjskich, gdzie zatrzymali się czas jakiś, Henryk podupadł tak na zdrowiu, że lekarz z „Cap Hamburg“ nakazał mu dłuższy wypoczynek w tym łagodnym klimacie, który mógł się okazać dla niego zbawiennym.

Henryk jednak przyjął niechętnie tę radę i oświadczył, że czuje się zdrowym zupełnie, a na zwalczanie męczącej go febry najlepszym środkiem będzie chinina i praca.

Lekarz nie nalegał więc dalej i ruszono w dalszą podróż. Okręt płynął już wzdłuż wybrzeży Afryki. Wkrótce ekspedycja zatrzymała się znowu. Pasażerowie, dążący do Loango, opuścili pokład, udając się do miejsca swojego przeznaczenia, a „Cap Hamburg“ popłynął dalej. Strony te, nawiedzone w roku przeszłym rewolucją, obecnie były zupełnie spokojne, tak, że podróżnicy swobodnie mogli zapuścić się do Brazzaville i nawet do Banghi. Tam już wylądować musieli i przeciskać się przez lasy i puszcze w głąb kraju. Lecz kiedy eksploratorzy stanęli na ziemi, mającej być celem ich operacji kolonialnych, Allan z niepokojem zapytywał siebie, czy wyczerpany i pograżony w zupełnym milczeniu jego młody towarzysz podoła dalszej pracy i potrafi stawić czoło otaczającym ich niebezpieczeństwom.

Kilka tygodni upłynęło, odkąd baron de Bressien otrzymał fatalną depezę Henryka de Kermor: Obecnie już mu nie grozi niebezpieczeństwo śmierci, pomimo, iż niema już nadziei odzyskania choć w części dawnych sił swoich i jasności władz umysłowych; prawa strona ciała została zupełnie obezwładniona, mowa ciężka, przerywana. Bankier dnie spędza w wygodnym fotelu, od czasu do czasu przeprowadzany z trudem po pokój przez pielęgnującą go ciągle córkę. Bankier de Bressien robi dziś wrażenie starca, schodzącego już z życia; ciemne włosy gęsto przyprószyła siwizna, oko bez blasku, bezmyślnie prawie spoczywa na otaczających go przedmiotach, ciało bezwładnie chyli się ku ziemi. Jednakże wierzy gorąco, że jest to tylko stan przejściowy, w czym gorliwie utwierdzają go lekarze i córka.

W tej chwili panna Sydonia, wspierając go silnie ramieniem, oprowadza go po pokoju. Bankier dyszy ciężko i lewą ręką opiera się na grubej lasce. Wargi jego drżą nerwowo, a na przekrwionych oczach osiadła mgła osłabienia.

— Już dosyć, ojciec — mówi stanowczo panna Sydonia, prowadząc go do fotela.

— Tak... tak... masz słuszość — odpowiada z trudem baron. — Nie trzeba się męczyć zanadto.

— Usiądź już na fotelu. Tak, teraz wypocznij trochę. Wiesz, ojciec, że widzę dzisiaj w tobie wielką zmianę na lepsze.

— Tak... zdaje mi się, że jestem już silniejszy. A... jak tam... z interesami?

— Zupełnie pomyślnie. Proszę cię, nie myśl teraz o tem.

— Ale... kopalnie... te akcje...

— Wszystkie rozsprzedane.

— Bardzo dobrze... cieszę się z tego... mówiłem ci zawsze, że na nie liczyć można... Ach! ten Delrue! ten nędznik... dobrze mu tak...